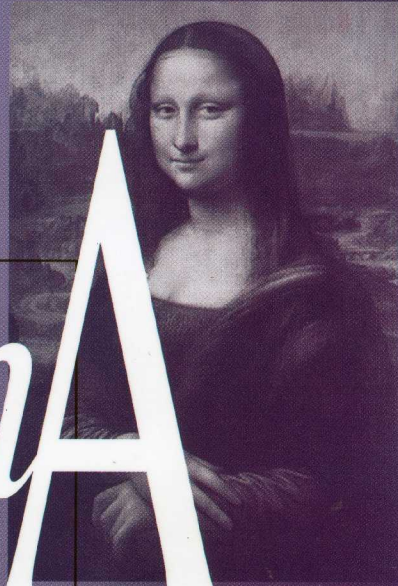
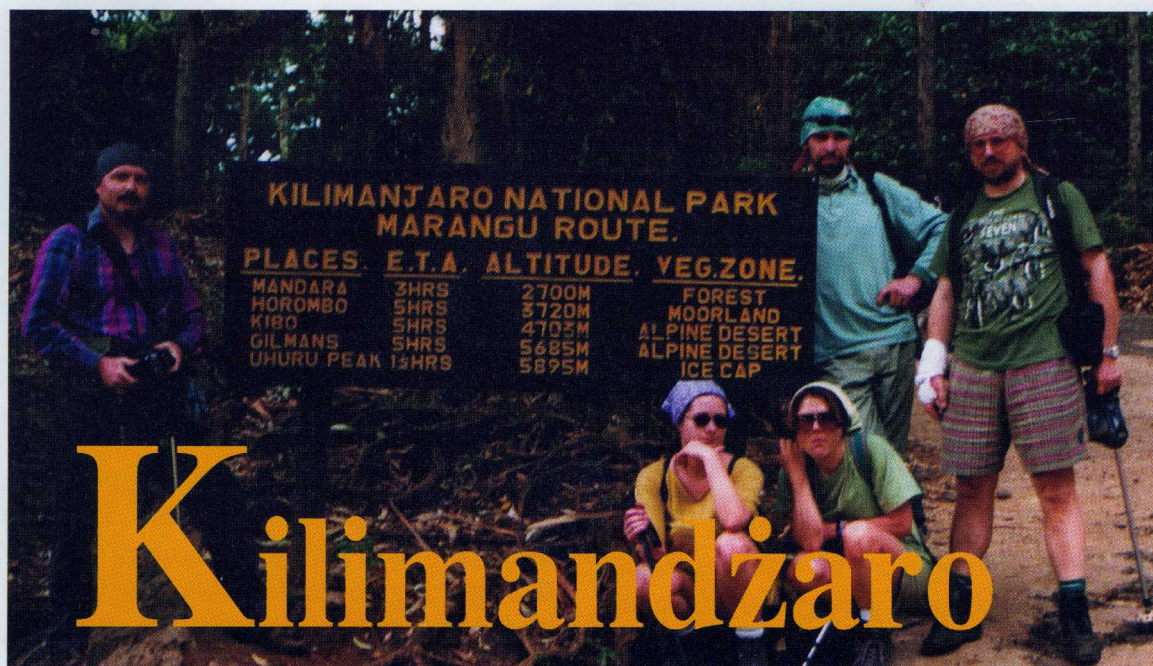


ISSN 1506-1477

NR 3/1 GRUDZIEŃ 1998

MODA Bielina





Każdy chce czasem zrealizować jakieś marzenie, które przez szereg lat było niemożliwe, nierealne, nieosiągalne...

Zrobić coś co wydaje się niezwykle, może trudne i trochę niebezpieczne. Dla nas takim pomysłem było wejście na Kilimandzaro!

I dlatego pewnego dnia w lutym 1997 roku wylądowaliśmy na małym afrykańskim lotnisku w Arushy. Była druga w nocy, około 30 stopni C, wysiedliśmy z klimatyzowanego Boeinga KLM-u i gwałtownie pocąc się zapominaliśmy o zimowej Europie, którą opuściliśmy zaledwie 8 godzin temu. Kilku powolnych tanzańskich urzędników z trudem i mozołem obsługiwało ponad 300 pasażerów samolotu; przesuwaliśmy się od okienka do okienka: sprawdzenie szczepień ochronnych (obowiązkowa żółta febra!), wbiecie wizy (cena umowna ok. 10 \$) i oficjalne przekroczenie

granicy. W prymitywnej salce na przybywających czekali szoferzy i taksówkarze z luksusowych hoteli. Na nas nikt nie czekał (nie zapowiedzieliśmy swojego przyjazdu). Otrzymaliśmy szereg propozycji dostania się do centrum miasta (różnorodnych cenowo). Wybraliśmy dojazd za darmo. Nasz dobroczynny nowy czarny przyjaciel liczył na zyski z przyszłych usług, które od niego zakupimy. Pierwszą afrykańską noc spędziliśmy w podobno słynnym (ale do dzisiaj nie wiemy z czego) hotelu Equator (Równik). Noc była trudna bo wychodowane na lekturze przewodników fobie kazały nam zamknąć szczelnie okna, zajrzeć w zakamarki w poszukiwaniu węży i skorpionów i przykryć się moskitierą (potem próbując spać można już tylko umierać z gorąca, braku tlenu i strachu). Przyjaciel z lotniska bezbłędnie znalazł się w odpowiednim czasie by zaoferować organizację pobytu. Po długich negocjacjach i żmudnym ustalaniu



szczegółów Moses zajął się wszystkim czyli przygotowaniem naszego wejścia na Kili-mandżaro. Ta najwyższa góra w Afryce wznosząca się w Tanzanii, przy granicy z Kenią zadziwiająca w tym gorącym klimacie czapą lodu i śniegu; stała się dla mieszkańców Arushy i Moshi doskonałym źródłem dochodu. Wielu ludzi z całego świata próbuje się z nią zmierzyć, płacąc za to mniejsze lub większe pieniądze. Za możliwość wejścia trzeba bowiem zapłacić minimum 500 \$ od osoby. Kwota ta obejmuje opłaty za wstęp do Parku Narodowego Kilimandżaro, noclegi w trzech schroniskach i obsługę przewodnika i tragarzy. Jest kilka dróg wejściowych dostępnych dla przeciętnego turysty. Tubylcy nazywają je barwnie zgodnie ze stopniem trudności: Coca Cola Route, Beer Route i Whisky Route. My wybraliśmy najbardziej popularną Coca-cola Route (Marangu). Szybko zapoznaliśmy się z terminem: „Afrikan Time” (Afrykański Czas) - bus, którym mieliśmy jechać do bram parku Kilimandżaro spóźnił się dwie godziny; nikt oprócz nas specjalnie się tym nie przejął. Takie wpadki związane z punktualnością towarzyszyły nam później dość często. Na zdenerwowane pytania co się stało? zawsze otrzymywaliśmy flegmatyczną odpowiedź: Afrikan

Time. Przed wejściem do parku dokonaliśmy stosownych opłat a przewodnik dobrał sobie grupę tragarzy (przepisy mówią o dwóch tragarzach na każdego wchodzącego). Tak więc nasza 5-cio osobowa grupa zatrudniła 12 Tanzańczyków, przewodnika, jego asystenta i 10 tragarzy.

Pierwszym etapem było powolne trzygodzinne dojście do schroniska Mandara na wysokości 2700 n p. m. Droga prowadziła przez tropikalny las pełen kamforowych drzew i olbrzymich paproci. Schronisko stwarzało ostatnią okazję do umycia się pod prowizorycznym prysznicem (zimna woda). Wiedzieliśmy, że wyżej nie będzie to możliwe. Następnego dnia po śniadaniu wyruszyliśmy do Horombo (3720 m npm). Po około 5 godzinach z ulgą zobaczyliśmy chaty schroniska. Wysokość zaczęła dawać się we znaki: ból głowy, spowolnione reakcje i sensacje żołądkowe. W Horombo postanowiliśmy zrobić przerwę aklimatyzacyjną - zostaliśmy jeden dzień; poświęcając go na wyjście na około 5000 m npm pod drugi szczyt Kilimandżaro - Manwenzi i powrót do wysokości 3700. Atmosfera w schronisku oscylowała między euforią i podnieceniem tych, którzy zwycięsko





zeszli z Uhuru Peak i strachem i obawą tych, którzy następnego dnia mieli udać się do Kibo. Osoby, którym mocno dokuczała wysokość podejmowały decyzje o powrocie w dół. Podtrzymywaliśmy się na duchu pijąc piwo „Kilimandżaro”... i przekonując się wzajemnie, że my na pewno wejdziemy. Rankiem opuściliśmy Horombo i po 5 godzinach pokonywania skalnej pustyni osiągnęliśmy wysokość 4700 m n.p.m. Byliśmy w schronisku KIBO, z którego o północy mieliśmy wyjść w kierunku szczytu. W 20 osobowej sali próbowaliśmy odpoczywać; było przeraźliwie zimno, wszyscy odczuwali skutki wysokości; ktoś wymiotował, ktoś ciężko oddychał...

Około dwudziestej czwartej przy temperaturze ok. -20 i silnym wietrze, ubrani we wszystkie ciepłe rzeczy przywiezione do Afryki wyruszyliśmy za naszym przewodnikiem do tzw. Punktu Gilmansa znajdującego się na wysokości 5685 m n.p.m. Dotarliśmy tam z wielkim trudem, po 5 godzinach mozolnego stąpania po piaszczystej stromej ścieżce. Tu część

naszej grupy zwątpiła w swoje siły i odmówiła wchodzenia na Uhuru Peak. Jednak argument, że do szczytu pozostały tylko dwie godziny drogi zmobilizował ich do zmiany postanowienia. Po wschodzie słońca ruszyliśmy dalej, byliśmy już bardzo zmęczeni wysokością i coraz częściej zatrzymywaliśmy się na odpoczynki, które były krótkie z powodu zimna i przenikliwego wiatru. Pokonanie ostatnich dwustu metrów różnicy wysokości zajęło nam dwie godziny. Ale udało się. Cała nasza piątka stanęła na Uhuru Peak - 5895 m n.p.m. Po zrobieniu zdjęć na dowód pobytu, w szybkim tempie opuszczaliśmy tę niesprzyjającą dobremu samopoczuciu wysokość. Słońce zaczęło grzać i niemiłosiernie opalać twarze, przechodziły nas dreszcze nie wiadomo czy z zimna czy z emocji? Po dwu godzinnym odpoczynku w schronisku Kibo zeszliśmy na 3700 do Horombo. I znów piliśmy piwo „Kilimandżaro” tym razem zadzierając nosa i patrząc z góry na tych, którzy pełni obaw następnego dnia będą wychodzić w górę z nadzieją na zdobycie szczytu.

